

ANNIE PROULX

**TAJEMNICA
BROKEBACK
MOUNTAIN**

**Przekład
Konrad Majchrzak**

**DOM WYDAWNICZY REBIS
Poznań 2006**

Ennis del Mar budzi się przed piątą, wiatr kołysze przyczepą kempingową, świszcząc w szparach wokół aluminiowych drzwi i ram okiennych. Wiszące na gwoździu koszule drżą delikatnie. Mężczyzna wstaje, drapie się w pokryte trójkątem posiwiałych włosów podbrzusze; powłócząc nogami, podchodzi do kuchenki gazowej, wysypuje resztki kawy do poobijanego emaliowanego rondla; niebieski płomień spowija naczynie. Odkręca kurek i oddaje do zlewu mocz, wciąga koszulę i dżinsy, znoszone buty, uderza obcasami o podłogę, żeby weszły do końca. Wiatr z hukiem omiata zakrzywione ściany przyczepy, poprzez jego wycie Ennis słyszy chrzęst drobnego żwiru i piasku. Na szosie może być ciężko z tą przyczepą dla koni. Musi się spakować i wynieść stąd jeszcze tego ranka. Kolejne ranczo wystawiono na sprzedaż; wczoraj wywieziono resztę koni, zapłacono ludziom. „Daj je temu oszukańcowi od nieruchomości, ja stąd wybywam”, powiedział właściciel, kładąc klucze na dłoni Ennisa. Pewnie będzie musiał przeczekać u swojej zamężnej córki, dopóki nie znajdzie innej roboty. W tej jednak chwili przepelnia go radość, ponieważ Jack Twist pojawił mu się we śnie.

Zwierzęta kawa wrze; zanim zdąży wykipieć, chwyta rondel, wlewa ją do brudnego kubka i dmucha na czarny płyn, pozwala, by tafla snu przysunęła się bliżej. Jeśli nie będzie zbyt skupiał na tym śnie uwagi, może czerpać z niego przez cały dzień, przywrócić tamten dawny czas na zboczu zimnej góry, kiedy świat należał do nich i wszystko wydawało się słuszne. Wiatr uderza gwałtownie w przyczepę niczym wielka gruda ziemi spadająca z wywrotki, uspokaja się, zamiera, zapada chwila ciszy.

Wychowali się na małych, biednych ranczach, w dwóch przeciwległych zakamarkach tego samego stanu, Jack Twist w Lightning Flat, przy granicy z Montaną, Ennis del Mar niedaleko Sage w pobliżu granicy z Utah; dwaj wiejscy chłopcy bez szkoły średniej, bez perspektyw, skazani na ciężką pracę i na niedostatek, obaj nieokrzesani, nie przebierający w słowach, nauczeni żyć bez uzewnętrzniania uczuć. Ennis, wychowywany przez starszego brata i siostrę po tym, jak ich rodzice wypadli z trasy na jedynym zakręcie Drogi Zdechłego Konia, zostawiając w spadku dwadzieścia cztery dolary gotówką i ranczo obciążone dwukrotnie przekraczającą jego wartość hipoteką, w wieku czternastu lat wystąpił o prawo jazdy dla nieletnich, bo pozwalało mu ono pokonywać drogę z rancza do szkoły w godzinę.

Pick-up, którym jeździł, był stary, nie miał ogrzewania, jedną tylko wycieraczkę i zdarte opony; kiedy wysiadła skrzynia biegów, nie było pieniędzy na naprawę. Chciał iść do liceum, wydawało mu się, że jest w słowie liceum coś takiego, co wyróżni go spośród innych, ale samochód zepsuł się za wcześnie i skazał go na pracę na ranczu.

W 1963 roku, kiedy poznał Jacka Twista, był zaręczony z Alną Beers. Zarówno Jack, jak i Ennis utrzymywali, że oszczędzają pieniądze na małe ranczo;

w przypadku Ennisa oszczędzanie zaowocowało dwoma pięciodolarowymi banknotami schowanymi w puszcze po tytoniu. Tamtej wiosny, spragnieni jakiegokolwiek roboty, zgłosili się do Biura Zatrudnienia Pracowników Farm i Rancz, na liście znaleźli się obaj, jeden jako pasterz, drugi jako nadzorca obozowiska przy tym samym wypasie owiec na północ od Signal. Letnie pastwiska leżały powyżej linii drzew, na zboczach Brokeback Mountain, terenach należących do rządowej Agencji Leśnictwa. Dla Jacka Twista miało to być już drugie lato na tej górze, dla Ennisa pierwsze. Żaden z nich nie miał jeszcze dwudziestu lat.

Podali sobie ręce w małej, dusznej przyczepie kempingowej służącej za kantorek. Stali obok stołu zarzuconego zapisanymi kartkami papieru, z bakelitowej popielniczki wysypywały się niedopałki. Trójkąt białego światła, wciskającego się do środka przez krzywo wiszące żaluzje, przecinał co chwilę cień ręki brygadzysty. Joe Aguirre miał falujące włosy w kolorze papierosowego popiołu z przedziałkiem pośrodku głowy; właśnie ich instruował:

— Agencja Leśnictwa wyznaczyła specjalne kawałki terenu pod obozowiska. Mogą się znajdować nawet o parę mil od miejsca, gdzie wypasamy owce. Drapieżniki powodują duże straty, bo w nocy nikt nie ma na nie oka. Ma być tak: obozowy w obozie głównym, tam gdzie nakazuje Agencja, ale PASTUCH — krawędź dłoni zwrócił w stronę Jacka — ustawia chyłkiem namiot przy owcach, w niewidocznym miejscu, i w nim ŚPI. Kolację, śniadanie jeść w obozie, ale SPAC Z OWCAMI, na sto procent, ŻADNYCH OGNISK, ŻADNYCH ŚLADÓW. Codziennie rano zwijać pałatkę, na wypadek jakby leśni weszli w okolicy. Wziąć psy, strzelbę, spać na miejscu. Zeszłego lata było prawie dwadzieścia pięć procent cholernych strat. Nie chcę, żeby się to powtórzyło. TY — powiedział do Ennisa, obejmując wzrokiem zmierzwione włosy, duże podrapane dłonie, rozdarte dżinsy, rozchełstaną, pozbawioną guzików koszulę — w piątki w samo południe masz być przy moście z listą tego, co potrzebne na następny tydzień i z mułami. Ktoś przywiezie zaopatrzenie pick-upem. — Nie pytał, czy Ennis ma zegarek, tylko z pudełka stojącego wysoko na półce wyjął tandetny, okrągły zegarek kieszonkowy na splecionym sznurku, nakręcił go, nastawił i rzucił młodemu człowiekowi, jakby nie było warto sięgać do niego ręką. — JUTRO RANO zawieziemy was do miejsca, z którego zaczynacie. — Para nieudaczników zmierzająca donikąd.

Znaleźli bar i całe popołudnie pili piwo. Jack opowiedział Ennisowi o ubiegłorocznej burzy z piorunami, która zabiła na zboczu góry czterdzieści dwie owce, o ich osobliwym odorze i o tym, jak się po śmierci rozděły, dodał, że tam na górze potrzeba dużo whiskey.

Powiedział, że zastrzelił orla, i odwrócił głowę, żeby pokazać pióro z jego ogona wetknięte za opaskę u kapelusza. Na pierwszy rzut oka Jack sprawiał całkiem miłe wrażenie, miał kręcone włosy i był skory do śmiechu, ale jak na niewysokiego mężczyznę był nieco za ciężki w zadku, a kiedy się uśmiechał, pokazywał wystające zęby, nie na tyle co prawda sterczące, żeby mógł wyjadać popcorn przez wąską szyjkę dzbanka, ale rzucające się w oczy. Uwielbiał rodeo, nosił pasek ze sprzączką typową dla ujeżdźaczy byków, buty miał zdarte na wylot, z dziurami nie do załatania i wrywał się w świat, gdziekolwiek, byle jak najdalej od Lightning Flat.

Ennis, niechlujny, z garbatym nosem, pociągłą twarzą i nieco zapadniętą

klatką piersiową, z długimi nogami i krótkim tułowiem, był muskularny, ciało miał giętkie, idealne do konnej jazdy i do bójki. Miał też doskonały refleks i był takim dalekowidzem, że nie znośił czytać niczego prócz katalogu siodeł Hamleya.

Owce i konie wyladowano z ciężarówek i z przyczep w miejscu, w którym zaczynał się szlak, a krzywonogi Bask pokazał Ennisowi, jak ma objuczać muły — u każdego dwie paki po bokach i bagaż na grzbiet, wszystko mocno przymocowane podwójnym wiązaniem na krzyż i zabezpieczone węzłem zaciskowym. — Nigdy nie zamawiaj zupy. Te skrzynki z zupą nielekkko jest przymocować — powiedział.

Trzy pasterskie szczeniaki znalazły się w koszu, najsłabszy za pazuchą u Jacka, który uwielbiał małe psy. Ennis wybrał sobie na wierzchowca dużego kasztanka zwanego Cygarowy Pet, Jack gniadą klacz, która okazała się wyjątkowo płochliwa. W rzędku zapasowych koni znalazł się też myszaty siwek, który spodobał się Ennisowi. Ennis i Jack, psy, konie i muły, tysiąc owiec z jagniętami popłynęli jak rzeka brudnej wody szlakiem ciągnącym się z początku pomiędzy drzewami, a wyżej, ponad ich linią, przecinającym wielkie połacie ukwieconych łąk bez ustanku omiatanych zmiennym wiatrem.

Na wyrównanym przez leśników kawałku terenu ustawili duży namiot, przygotowali kuchnię i złożyli prowiant. Tej pierwszej nocy obaj spali w obozie i Jack zrzędził na Joego Aguirre'a, który mu nakazał spać z owcami i zakazał rozpalania tam ognia, kiedy jednak o ciemnym przedświcie siodłał swoją gniadą, mówił niewiele. Świt wstał szklście pomarańczowy, podbarwiony od dołu krystalicznym seledynowym pasem. Czarny jak sadza masyw góry bladł z wolna, aż nabrał koloru dymu z rozpalonego przez Ennisa ogniska.

Zimne powietrze złagodniało, pasiaste kamyki i grudki ziemi zaczęły nagle rzucać długie jak ołówki cienie, a rosnące poniżej sosny zastygły w mroczne malachitowe bryły.

W ciągu dnia Ennis spoglądał w górę poprzez dzielącą ich przestrzeń i od czasu do czasu dostrzegał Jacka, małą kropkę przesuwającą się wysoko na hali niczym owad wędrujący po obrusie; Jackowi w ciemnym obozowisku Ennis wydawał się niczym nocny ognik, czerwona iskierka tańcząca na ogromnym, czarnym masywie góry.

Któregoś późnego popołudnia Jack przyczłapał na swoim wierzchowcu, wypił dwie butelki piwa, schłodzone w mokrym worku położonym w cieniu namiotu, zjadł dwie miski gulaszu, cztery twarde jak kamień herbatniki Ennisa, puszkę brzoskwiń, zapalił skręta, zapatrzył się na zachodzące słońce.

— To jeżdżenie tam i z powrotem zabiera mi cztery godziny dziennie — oświadczył ponuro. — Jedź na śniadanie, wracaj do owiec, wieczorem zbierz je do kupy, jedź na kolację, potem z powrotem do owiec, połowę nocy zrywaj się i sprawdzaj, czy nie ma kojotów. Po prawie powinienem sypiać tutaj. Aguirre nie ma żadnego prawa zmuszać mnie do tego kręcenia się w kółko.

— Chcesz, żebym dał ci zmianę? — spytał Ennis. — Pasuje mi pasterzowanie. I spanie tam na górze.

— Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że oba powinniśmy mieszkać tu, w obozie. A tamten cholerny namiot śmierdzi jak kocie szczyny albo i co gorszego.

— Mi nie zawadza tam iść.

— Wiesz co, z tuzin razy musisz tam się zrywać po nocy przez te kojoty. Chętnie bym się zamienił, ale muszę cię ostrzec, że gówniany ze mnie kucharz. Za to świetnie se radzę z otwieraczem do puszek.

— No to nie jesteś gorszy ode mnie. Naprawdę, chętnie to zrobię.

Przez godzinę odpędzali noc żółtym światłem lampy naftowej, a około dziesiątej Ennis na grzbiecie Cygarowego Peta, zdatnego do nocnej wędrówki, pojechał po roziskrzanej szronem ziemi do owiec, uwożąc ze sobą resztę herbatników, słój dżemu i puszkę kawy na następny dzień, co miało mu oszczędzić jednej jazdy, bo będzie mógł zostać przy zwierzętach aż do kolacji.

— Ustrzeliłem kojota o pierwszym brzasku — oznajmił następnego wieczoru.

Ochlapywał gorącą wodą i mydlił twarz, wyrażając nadzieję, że jego brzytwa jeszcze nie całkiem się stępiła, podczas gdy Jack obierał ziemniaki. — Wielki był drań. Jajca u niego jak jabłka. Założę się, że załatwił parę jagniąt. Wyglądał mi na takiego, co mógłby wtrząchnąć i wielbłąda. Chcesz trochę gorącej wody? Jest dosyć.

— Możesz zużyć całą.

— No dobra, to umyję wszystko, do czego tylko sięgnę — powiedział, po czym ściągnął buty i dzinsy (żadnych slipów, żadnych skarpetek, zauważył Jack) i tak energicznie wymachiwał zieloną myjką, że aż ogień zasyczał od kropel wody. Ucztowali przy ogniu, puszka fasoli na każdego, smażone kartofle i kwarta whiskey na dwóch, siedzieli oparci plecami o kłodę drzewa, z podeszwami butów i mosiężnymi nitami dzinsów nagrzanymi ogniem, podawali sobie butelkę z rąk do rąk, podczas gdy lawendowe niebo traciło barwę, a chłodne powietrze spływało po ziemi, pili, palili papierosy, wstawali od czasu do czasu, żeby się wysikać, światło ogniska pobłyskiwało w łukowatym strumieniu moczu, ciskali do ognia patyki, żeby podtrzymać rozmowę, gadali o koniach i rodeo, ujeżdżaniu koni i byków, złamaniach i odniesionych obrażeniach, o łodzi podwodnej *Thresher*, która poszła na dno z całą załogą, i jak to musiało wyglądać w tych ostatnich pozbawionych nadziei chwilach, o psach, które mieli albo znali, o poborze do wojska, o rodzinnej farmie Jacka, której nadal trzymali się kurczowo jego ojciec i matka, o rodzinnym gospodarstwie Ennisa, zlikwidowanym już lata temu po śmierci rodziców, o starszym bracie mieszkającym w Signal, zameżnej siostrze z Casper. Jack powiedział, że przed laty jego ojciec był dość znany z ujeżdżania byków, ale zawodowe tajemnice trzymał dla siebie, nigdy nie wspomógł Jacka nawet słowem, nigdy nie przyszedł zobaczyć, jak Jack jeździ, chociaż sam sadzał go na grzbietach owiec, kiedy Jack był małym chłopcem. Ennis powiedział, że osobiście interesuje go jazda, która trwa dłużej niż tylko osiem sekund, i był w tym jakiś sens. W pieniądzu jest sens, oświadczył Jack i Ennis przyznał mu rację. Cierpliwie słuchali się nawzajem, zadowoleni z własnego towarzystwa, w tym miejscu, w którym nikogo innego nie można by się spodziewać. Wracając do owiec, pod wiatr, w zdradliwym pijanym widzie, Ennis pomyślał, że jeszcze nigdy tak dobrze się nie

bawił, czuł, że gdyby wyciągnął rękę, mógłby zdrapać biel z księżyca.

Lato trwało, a oni przegonili stado na nowe pastwisko, przenieśli obóz; odległość pomiędzy owcami a obozem powiększyła się, wydłużyła się nocna jazda. Ennis był dobrym jeźdźcem, spał z otwartymi oczyma, ale coraz więcej czasu spędzał z dala od owiec. Jack wydobywał z organków, lekko spłaszczonych po tym, jak spadł z płochliwej klaczy, jękliwy warkot, Ennis miał niezły chropawy głos; przez kilka wieczorów zmęczeni wspólnie parę piosenek. Ennis znał pikantny tekst *Deresza*. Jack próbował piosenki Carla Perkinsa, rycząc „to, co mówie-je-je”, jego ulubionym utworem był jednak tchnący smutkiem hymn *Jezus chodzi po wodzie*, którego nauczyła go matka, wierząca w zesłanie Ducha Świętego; śpiewał go w żalobnie wolnym tempie, aż odpowiadał mu z oddali żalosny skowyt kojotów. — Za późno, żeby wracać do tych cholernych owiec — oświadczył Ennis, na czworakach, odurzony alkoholem, pewnej zimnej nocy, kiedy księżyc zdążył już przewędrować szmat nieba. Kamienie na hali połyskiwały białozielono, dął nieustępliwy wiatr, kładł nisko płomień ogniska, a potem szarpał je na żółte jedwabście połyskujące szarfy. — Wezmę koc, zwinę się tutaj i zdrzemnę, a ruszę o pierwszym świetle.

— Odmroziś se tyłek, kiedy ognisko dogaśnie. Lepiej kładź się w namiocie.

— Pewnie i tak nic nie pocuję. — Wtoczył się jednak pod płótno, ściągnął buty, jakiś czas pochrapywał, leżąc bezpośrednio na macie wyściełającej namiot, wreszcie obudził Jacka szczękaniem zębów.

— Dobry Jezu, przestań kłapać i włącz tutaj. Posłanie jest całkiem spore — powiedział Jack rozeźlonym, zaspanym głosem.

Rzeczywiście było całkiem spore, całkiem wygrzane i już po chwili znacznie pogłębili znajomość. Ennis nie tolerował półśrodków, czy to naprawiając ogrodzenie czy wydając pieniądze, i zupełnie nie odpowiadało mu, kiedy Jack chwycił jego lewą dłoń i przyciągnął do swojego sztywnego członka. Wyrwał rękę, jakby się sparzył, ukląkł, rozpiął pas, opuścił spodnie, przekręcił Jacka plecami do góry i wykorzystując naturalną wydzielinę oraz odrobinę śliny, wszedł w niego i choć nie robił tego nigdy wcześniej, niepotrzebna mu była żadna instrukcja. Panowała zupełna cisza, jeśli nie liczyć kilkakrotnego gwałtownego zaczerpnięcia powietrza i zduszonego okrzyku Jacka, „w y p a l a m”, potem oderwali się od siebie, ułożyli i zasnęli.

Ennis obudził się o purpurowym świcie, ze spodniami wokół kolan, z solidnym kacem i z przytulonym do siebie Jackiem; chociaż nie rozmawiali na ten temat, obaj dobrze wiedzieli, jaka będzie pozostała część lata, i niech szlag trafi owce.

I nie pomylili się ani trochę. Nigdy nie rozmawiali o seksie, pozwalali, by działo się to w sposób naturalny, najpierw tylko nocą w namiocie, potem w pełni dnia, w palącym słońcu, a wieczorem w blasku ogniska, szybko, szorstko, ze śmiechem i parsaniem, nie brakowało różnych dźwięków, ale nie było słów, raz tylko Ennis rzucił „Nie jestem żadną ciotą”, na co Jack zareagował błyskawicznie: „Ja też nie. Jednorazowa sprawa. Wyłącznie między nami”. Było ich tylko dwóch na zboczu tej góry. Unosili się w przesiąkniętym euforią, rześkim powietrzu, spoglądali z góry na grzbiet jastrzębia i przesuwające się wolno światła pojazdów w dali na

równinie — czuli się wtedy oderwani od wszystkich zwykłych spraw i dalecy od tych uległych ranczerskich psów szczekających po nocach. Wierzyli, że są niewidzialni, nieświadomi, że pewnego dnia przez pełne dziesięć minut Joe Aguirre obserwował ich przez lornetkę 10x42 i czekał, aż pozapinają dzinsy, a Ennis pojedzie z powrotem do owiec, by wybrać się z wiadomością od rodziny Jacka, że jego wujek Harold leży w szpitalu z zapaleniem płuc i już pewnie z tego nie wyjdzie. Wuj jednak przeżył i Aguirre przyjechał ponownie, by go o tym powiadomić, i nie zsiadając z konia, przyglądał się Jackowi zuchwale.

W sierpniu Ennis spędził z Jackiem całą noc w głównym obozie, a tam wyżej, pośród rozszalałej burzy z gradobiciem, ich owce popędziły na zachód i zmieszały się z innym stadem. Przez pięć nieszczęsnych dni Ennis i nie mówiący w ogóle po angielsku chilijski pasterz próbowali rozdzielić zwierzęta, co okazało się zadaniem niewykonalnym, ponieważ do tej pory wymalowane farbą na sierści oznakowanie zdążyło się już wytrzeć i było prawie niewidoczne. Nawet kiedy liczba owiec w stadzie wreszcie się zgadzała, Ennis wiedział, że zwierzęta są wymieszane. W jakiś niepokojący sposób wszystko wydawało się pomieszane.

Pierwszy śnieg spadł wcześniej, trzynastego sierpnia, ale choć był gruby na stopę, szybko stopniał. W następnym tygodniu Joe Aguirre przesłał wiadomość, że mają sprowadzić zwierzęta na dół — od Pacyfiku zbliżała się kolejna, jeszcze groźniejsza burza — zwinęli więc manatki i popędzili owce z góry. Za nimi osypywały się kamienie, z zachodu napierała fioletowa chmura, gnała ich wisząca w powietrzu metaliczna woń nadchodzącego śniegu. Góra kipiała jakąś demoniczną energią, poznaczona migotliwym światłem przedzierającym się przez chmury, wiatr cesał trawę i wydobywał z ponadłamywanych skarłowaciałych drzew i splekanych skał przeciągły jęk. Kiedy schodzili coraz niżej, Ennis miał wrażenie, że spada, jak na zwolnionym filmie, głową w dół, nieuchronnie.

Joe Aguirre zapłacił im, niewiele mówiąc. Z kwaśną miną oglądał kręcące się w kółko owce.

— Niektóre nie szły z wami w tamtą stronę — oświadczył. Ich liczba też się na pewno nie zgadzała. Ci faceci z rancz szczególnie rwali się do roboty.

Szykujesz się na to przyszłego lata? — spytał Jack Ennisa na ulicy, z jedną nogą już we wnętrzu zielonego pick-upa.

Dął silny i zimny wiatr.

— Chyba nie — odparł Ennis. Tuman kurzu wzbił się w powietrze, tak że musiał zmrużyć oczy przed gryzącymi drobinami. — Mówiłem ci, w grudniu poženimy się z Alną. Może znajdę sobie coś na jakimś ranczu. A ty? — Odwrócił wzrok od szczęki Jacka, sinea od ciosu, jaki wymierzył mu tego ostatniego dnia.

— Jak się nie trafi nic lepszego. Zastanawiałem się, czy nie wrócić do ojca na gospodarstwo, pomóc mu zimą, a potem wiosną ruszyć może do Teksasu. Jeśli nie dopadnie mnie pobór.

— No to do zobaczenia — powiedział Ennis.

Wiatr gnał ulicą pusty worek po paszy, aż rzucił nim w końcu pod Ennisa auto.

— Tak jest — powiedział Jack.

Uścisnęli sobie ręce, pokleпали się po plecach, a potem, kiedy dzieliło ich już czterdzieści stóp, nie pozostawało nic innego, jak tylko rozjechać się w przeciwnie strony. Po ujechaniu mili Ennis czuł się, jakby ktoś co chwila, kawałek po kawałku, wyszarpywał mu wnętrzności. Zatrzymał się na poboczu i w świeżym wirującym śniegu próbował zwymiotować, ale bez rezultatu. Nigdy jeszcze nie czuł się tak źle i minęło dużo czasu, nim to uczucie zelżało.

Ennis ożenił się w grudniu, w połowie stycznia Alma była już w ciąży. Brał dorywcze prace na ranchach, potem zatrudnił się na stałe jako kowboj w Hi-Top, starym ranchu Elwoodów położonym na północ od Lost Cabin w hrabstwie Washakie. Wciąż tam pracował, kiedy we wrześniu przyszła na świat Alma Juniorka, jak nazywał swoją córkę, i sypialnię małżeńską wypełniły zapach nieświeżej krwi i mleka, i niemowlęcych kupek, i wrzaski, i odgłosy ssania, i postękiwania zaspanej Almy — wszystko, co dla kogoś, kto pracuje przy bydle świadczy o płodności i ciągłości życia.

Kiedy rancho padło, przeprowadzili się do Riverton, do małego mieszkanka nad pralnią chemiczną. Ennis dostał się do brygady drogowej, uważał tę robotę za dość znośną, w weekendy jednak pracował na ranchu Rafter B w zamian za możliwość trzymania tam swoich koni. Urodziła się druga córka i Alma chciała zostać w mieście, w pobliżu szpitala, bo to dziecko miało nierówny, astmatyczny oddech. — Ennis, proszę cię, skończmy już z tymi cholernymi oddalonymi od świata ranchami — powiedziała, siadając mu na kolanach i obejmując go szczupłymi, piegowatymi ramionami. — Znajdźmy coś tutaj, w mieście.

— Czemu nie — zgodził się Ennis. Wsunął dłoń w rękaw jej bluzki, pogładził jedwabiste włosy pod pachą, potem zdjął ją z kolan i przesunął palcami w górę żeber, do miękkiej piersi, pogłaskał krągłość brzucha i kolana, sięgnął do wilgotnej szczeliny, aż do bieguna północnego, albo równika, zależnie od tego, w którą stronę się według własnego widzimisię żeglują, zatrzymał się tam dłuższą chwilę, aż przeszedł ją dreszcz i szarpnęła jego dłoń, a wtedy ją odwrócił i zrobił szybko to, czego nienawidziła. Zostali w małym mieszkanku, co mu odpowiadało, bo w każdej chwili można je było opuścić.

Nadeszło czwarte lato po Brokeback Mountain i w czerwcu Ennis dostał na poste restante list od Jacka Twista; był to pierwszy od niego znak życia.

Przyjacielu ten list jest dawno spóźniony. Mam nadzieję, że go dostaniesz. Doszły mnie słuchy że mieszkasz w Riverton. Bende tamtendy przejeżdżał 24go i umyśliłem sobie że się zatrzymam i postawie ci piwo. Skrobnij słówko jak możesz, powiadom czy tam będziesz.

Adres zwrotny był w Childress w Teksasie. Ennis odpisał, *no pewnie*, podał swój adres.

Ranek był upalny, pogodny, nim jednak przyszło południe, z zachodu nadciągnęły chmury i powietrze stało się nieco mniej ciężkie. Ennis, w najlepszej koszuli, białej w szerokie czarne pasy, nie miał pojęcia, o której Jack się pojawi, wobec czego wziął wolny dzień, a teraz chodził w tę i z powrotem, spoglądając w dół, na pobieloną pyłem ulicę. Alma mówiła coś o zabranii przyjaciela do Noża i Widelca na kolację, zamiast gotowania w domu przy tym upale, jeśli tylko znaleźli kogoś do opieki nad dziewczynkami, ale Ennis odparł, że najpewniej pójdzie na miasto sam z Jackiem i dadzą sobie w gaz. Jack nie przepada za restauracjami, oświadczył, wracając myślą do brudnych łyżek tkwiących w ledwie utrzymujących się na zwalonej kłodzie puszkach z zimną fasolą.

Późnym popołudniem, wraz z pierwszym pomrukiem burzy, pojawił się ten sam zielony pick-up i Ennis zobaczył, że Jack, zsunawszy znoszony kapelusz na tył głowy, wysiada z auta. Jak oparzony wypadł z mieszkania na podest, zatrzasnął za sobą drzwi. Zbiegał na dół po dwa stopnie. Objęli się, uścisnęli z taką siłą, że zabrakło im tchu, powtarzając, ty draniu, draniu, po czym z równą łatwością, z jaką właściwy klucz przekręca mechanizm zamka, ich usta się spotkały, z całą siłą, wielkie zęby Jacka wrzynały się w wargi Ennisa, spadł mu kapelusz, drapał porośniętą szczecinią brodą, wezbrała ślina. Otworzyły się drzwi, stanęła w nich Alma i spoglądała przez kilka sekund na naprężone barki Ennisa, drzwi się zatrzasnęły, a oni tak trwali, stopieni piersiami, brzuchami, nogami, deptali sobie po palcach, aż wreszcie oderwali się od siebie, żeby nabrać powietrza, i Ennis, taki zawsze oszczędny w słowach, nie bawiący się w czułości, powiedział to, co mówił do swoich koni i córek, moje kochanie.

Ponownie lekko uchylły się drzwi, w wąskiej strudze światła pojawiła się Alma.

Cóż miał powiedzieć?

— Alma, to jest Jack Twist, Jack, moja żona Alma. — Oddychał ciężko. Czuł doskonale sobie znany zapach Jacka, kombinację odoru papierosów, ostrej woni potu i jakiegoś łagodnie słodkiego aromatu, przywodzącego na myśl trawy, a wraz z nimi przejmujący chłód tamtej góry. — Almo — powiedział — bo my z Jackiem to się nie widzieliśmy od czterech lat. — Jakby to miało być wytłumaczeniem. Był zadowolony, że światło na klatce jest przyćmione, i nawet nie odwracał się do niej. — Jasne — powiedziała Alma cicho. Widziała, co widziała. W pokoju za nią błyskawica wypełniła bielą okno jak rozpostartym prześcieradłem i niemowlę zapłakało.

— Masz dziecko? — spytał Jack. Dygoczącą ręką chwycił dłoń Ennisa, z trzaskiem przeskoczył między nimi prąd elektryczny.

— Dwie córeczki — odparł Ennis. — Almę Juniorkę i Francine. Bardzo je kocham — dodał.

Usta Almy zadrgały.

— Ja mam syna — oświadczył Jack. — Ośmiomiesięcznego. Bo wiesz, machnąłem się za jedną taką słodką Teksaneczkę, tam w Childress... ma na imię Lureen. — Drganie deski podłogowej, na której stali obaj, mówiło Ennisowi, jak bardzo Jack się trzęsie.

— Almo — powiedział do żony — idziemy z Jackiem się napić. I może wyjść na to, że nie wrócę na noc, jak już zaczniemy pić i gadać.

— Jasne — powiedziała Alma i wyjęła z kieszeni jednodolarowy banknot.

Ennis domyślał się, że pewnie poprosi go, żeby jej kupił paczkę papierosów, co mogłoby go sprowadzić trochę wcześniej do domu.

— Miło było poznać — powiedział Jack, drżąc jak zajeżdżony koń.

— Ennis... — odezwała się Alma tym swoim smętnym głosem, ale on już zbiegał ze schodów.

— Jak chcesz fajki, to kilka jest w kieszeni mojej niebieskiej koszuli, w sypialni — zawołał.

Pojechali samochodem Jacka, kupili butelkę whiskey i już po dwudziestu minutach trzęśli łóżkiem w motelu Sjesta. Kilka garści gradu zagrzechotało o szyby, potem przez całą noc padał deszcz, a perfidny wiatr targał niedomkniętymi drzwiami pokoju obok.

Pokój cuchnął spermą i dymem papierosowym, i potem, i whiskey, starą wykładziną i zbutwiałym sianem, skórą siodła, gnojem i tanim mydłem. Ennis leżał plackiem, z obrzmiałym członkiem i oddychał głęboko, wyczerpany i mokry, Jack wydmuchiwał obłoki dymu niczym wieloryb fontanny wody.

— Chryste, chyba dlatego że spędzasz tyle czasu na końskim grzbiecie, jest tak cholernie dobrze — powiedział Jack. — Musimy o tym pogadać. Jak Boga kocham, nie było mi w głowie, że znowu to zrobimy... chociaż nie, było. Dlatego tu jestem. Jak jasna cholera było. Wyciskałem z silnika, ile się da, ciągle mi było za wolno.

— A ja nie miałem pojęcia, gdzie się, do diabła, podziewasz — powiedział Ennis.

— Cztery lata. Już prawie machnąłem na ciebie ręką. Myślałem, że wciąż się gniewasz o tamto walnięcie.

— Przyjacielu — odparł Jack — byłem w Teksasie, występowałem na rodeo. Tak poznałem Lureen. Spójrz tam, na ten fotel.

Z oparcia poplamionego pomarańczowego fotela błysnęła sprzączka.

— Ujeżdżałeś byki? — zapytał.

— Taa. Tamtego roku zarobiłem trzy pieprzone tysiące dolarów. Głodowałem. Poza szczoteczką do zębów wszystko musiałem pożyczać. Zjechałem cały Teksas.

Połowę tego czasu spędziłem, leżąc pod tym piździelcem pick-upem. Tak czy owak, nigdy nie myślałem, żeby się poddać. Lureen? U niej to jest dopiero ciężka forsa. Jej stary ją ma. Prowadzi interes z maszynami rolniczymi. Oczywiście, nie dopuszcza jej do pieniędzy, a mnie nie cierpi, tak że nie mamy lekko, ale któregoś dnia...

— No tak, życie jest, jakie jest. Wojsko się o ciebie nie upomniało?

Daleko na wschodzie zadudnił grzmot, burza, spowita czerwonymi wstęgami światła, oddalała się od nich.

— Nic by ze mnie nie mieli. Kilka kręgów mam pękniętych. I złamanie przeciążeniowe, tu, tej kości, wiesz, że przy jeździe na byku zawsze trzymasz rękę sztywno od siebie?... i za każdym razem ona trochę się uszkadza. Nawet jak ją solidnie zabandażujesz, to zawsze pieprzony kawałeczek się ukruszy. Mówię ci, boli

potem jak jasna cholera. Złamałem też nogę. W trzech miejscach. Spadłem z byka, a była to wielka bestia i było z czego spadać, zwałił mnie w trzy sekundy i zaraz ruszył do mnie i skubaniec był szybszy. I tak miałem farta. Mojemu przyjacielowi jeden byk rogiem jak bagnetem zmierzył poziom oleju i załatwił go ze szczętem, tyle tylko się dowiedziałem. Przytrafiło mi się jeszcze parę innych rzeczy, pieprzone złamane żebra, skręcenia i bolesne urazy, zerwane ścięgna. Bo widzisz, teraz nie jest tak jak za czasów mojego taty. Teraz to są goście z forszą, co to studiują, sami wyszkoleni sportowcy. Teraz musisz mieć szmal, żeby brać udział w rodeo. Stary Lureen za cholere nie dałby mi złamanego centa, chyba żebym się na zawsze od nich odczepił. A ja już wiem wystarczająco dużo o tej zabawie, żeby mieć pewność, że się nigdy na niej nie odkuję. Jest i inny powód. Trzeba się wycofać, póki jeszcze człowiek może samodzielnie chodzić.

Ennis przyłożył dłoń Jacka do ust, zaciągnął się jego papierosem, wydmuchnął dym.

— Mnie się widzi, że jesteś cały. Wiesz, że przez te lata wciąż sobie kombinowałem, czy jestem...? Wiem, że nie jestem. To znaczy, przecież obaj mamy żony i dzieci, no nie? Lubię to robić z kobietami, taa, ale nic nie jest takie jak to. Nigdy mi nawet do łba nie przyszło, że mógłbym to zrobić z jakimś innym facetem, a musisz wiedzieć, że ze setką razy myśląc o tobie, waliłem konia. A ty to robiłeś z innymi facetami, Jack?

— No co ty? — odparł Jack, który ujeżdżał i byki, i konie, ale nie trzepał własnego.

— Przecież wiesz. Ta poczciwa Brokeback nieźle nas wzięła i to jeszcze nie jest koniec. Musimy się rozeznąć, co teraz mamy zrobić.

— Tamtego lata — powiedział Ennis — kiedy się rozjechaliśmy, jak już nam zapłacili, to tak mnie skręciło w brzuchu, że się zatrzymałem, żeby puścić pawia, myślałem, że zjadłem coś nieświeżego w tamtej knajpie w Dubois. Chyba dopiero po roku sobie wymyśliłem, że nie trzeba było tracić cię z oczu. Ale wtedy było już o wiele za późno.

— Przyjacielu — powiedział Jack — wpieprzyliśmy się w nieźle gównu. Musimy wykombinować, co robić dalej.

— Na to wychodzi, że nic się nie da zrobić — odparł Ennis. — Chcę powiedzieć, że przez te lata ułożyłem se życie. Kocham córeczki. Alma? To nie jej wina. Ty masz swoje dziecko i żonę, tam, w Teksasie. Po prawdzie, ty i ja nie możemy być ze sobą, jeśli to, co tam się zdarzyło... — odwrócił głowę — może nas dopaść w każdej chwili. Zrobimy coś takiego nie tam, gdzie trzeba, i jesteśmy zimne trupy. Tego nie da się trzymać na wodzy. To mnie przeraża.

— Powiem ci, przyjacielu, że tamtego lata ktoś nas chyba widział. Wróciłem tam w czerwcu następnego roku, myślałem, czy nie wziąć tej roboty... w końcu nie wziąłem, pojechałem zamiast tego do Teksasu... i w biurze natknąłem się na Joego Aguirre'a. „Co, chłopcy, znaleźliście sobie sposób, żeby czas wam tam szybko mijał, nie?”, mówi do mnie, a ja tylko popatrzyłem na niego twardo, ale kiedy wyszedłem, zobaczyłem wiszącą na lusterku wstecznym w jego samochodzie taką wielgachną lornetkę. — Nie dodał już, że brygadzysta, rozwalony na swoim skrzypiącym drewnianym krześle, odmówił przyjęcia go do pracy. „Twist, nie płacono wam za to, żebyście owce zostawiali pod opieką psów, a sami ładowali w piec”, oświadczył. —

Taa, ten twój cios — ciągnął Jack — zaskoczył mnie. Nie spodziewałem się, że możesz nieczysto uderzyć.

— Wprawilem się przy swoim bracie KE, trzy lata starszym, który codziennie mnie obijał. Tatę znudziły wreszcie moje ryki i kiedy miałem ze sześć lat, postawił mnie przed sobą. Ennis, mówi, masz problem i musisz sobie z nim poradzić, bo inaczej będziesz miał dziewięćdziesiąt lat, KE dziewięćdziesiąt trzy i dalej będzie tak samo. No dobra, ja mu na to, ale on jest większy ode mnie. A tato powiada, musisz go zaskoczyć, nic do niego nie mów, dołóż mu, weź nogi za pas i powtarzaj tę zagrywkę, aż do niego dotrze. Na słuch nie ma nic lepszego, jak komuś dobrze przyłożyć. Więc tak zrobiłem. Dopadłem go w wychodku, zaskoczyłem na schodach, w nocy dałem mu wycisk, kiedy spał. Wystarczyły dwa dni. Od tamtej pory nie miałem z KE żadnych problemów. Lekcja z tego była taka: nic nie mów i załatw sprawę szybko — dokończył Ennis.

W pokoju obok odezwał się telefon, dzwonił i dzwonił, wreszcie zamilkł raptownie w połowie sygnału.

— Drugi raz już ci się ze mną nie uda — oświadczył Jack. - Słuchaj, tak sobie myślę, że jakbyśmy mieli razem małe ranczo, niewielką hodowlę krów i cieląt, do tego twoje konie, to dopiero byłoby słodkie życie. Mówiłem, z rodeo koniec. Nie jestem najgorszym jeźdźcem, ale nie mam dość forsy, żeby wydostać się z tego dołka, i nie mam więcej kości, które można by jeszcze obijać. Tak sobie obmyśliłem, taki mały plan, Ennis, jak moglibyśmy to zrobić, ty i ja. Możesz być pewien, że stary Lureen dałby mi sporo szmalu, żeby tylko zniknął. Już coś w tym sensie powiedział...

— Hola, hola. Tak się nie da. Nie możemy. Ja jestem uwiązany do tego, co mam, złapałem się we własne sidła. Nie potrafię się z nich wyplątać. Jack, nie chcę być jak ci faceci, których widuje się tu i tam. I nie chcę być martwy. W moich rodzinnych stronach było takich dwóch miłych starszych facetów, co to mieli wspólne ranczo, Earl i Rich... tata zawsze rzucał jakąś uwagę, kiedy ich widział. Nabijali się z nich, mimo że byli przecież starymi twardzielami. Miałem może z dziewięć lat, kiedy w rowie melioracyjnym znaleźli martwego Earla. Wiesz, co mu zrobili? Tłukli go łyżką do opon, pokłuli ostrogami, przywiązali za fiuta i wlekli tak długo, aż mu się urwał, została tylko krwawa miazga. Po tym okładaniu łyżką do opon wyglądał jak posypany kawałkami spalonych pomidorów, nos miał do cna zdarty od tarcia po żwirze.

— Widziałeś to?

— Już tato tego dopilnował. Sam mnie tam zaprowadził. Mnie i KE. Śmiał się. Do diabła, jak go znałem, to maczał w tym palce. Gdyby żył i nas tu teraz nakrył, musowo poleciałby po swoją łyżkę do opon. Dwóch facetów razem? Nie. Jedyne, co mogę sobie wyobrazić, to że się spotykamy od czasu do czasu, gdzieś na jakimś kompletnym zadupiu...

— A jak często jest to twoje od czasu do czasu? — spytał Jack. — Od czasu do czasu raz na cztery pieprzone lata?

— Nie — odparł Ennis, gryząc się w język, żeby nie zapytać, czyja to wina. — Nie mogę znieść myśli, że rano odjedziesz, a ja wrócę do pracy. Ale jak nie można czegoś zmienić, to trzeba z tym żyć — oświadczył. — Cholera, przyglądałem się ludziom na ulicy. Innym też się to przydarza? Co, do diabła, z tym robią?

— W Wyomingu to się nie zdarza, a jeśli już, to i tak nie wiem, co robią, może jadą do Denver — odparł Jack, siadając, odwracając się od niego — i szczerze mówiąc, mam to w dupie. Kurwa mać, Ennis, weź parę dni wolnego. Teraz, zaraz. Wynośmy się stąd. Wrzuć swoje rzeczy na moje auto i jedźmy w góry. Na kilka dni. Zadzwoń do Almy i powiedz, że jedziesz. No już, Ennis, to ty przecież właśnie zestrzeliłeś mój samolot... więc daj mi chociaż spadochron. To, co się dzieje, to nie byle co. W sąsiednim pokoju znowu rozbrzmiał pustym dźwiękiem sygnał telefonu i Ennis, zupełnie jakby ten telefon odbierał, podniósł słuchawkę aparatu stojącego na nocnym stoliku i wykręcił swój numer.

Powoli psuło się pomiędzy Ennisem i Almą, nic konkretnego, po prostu coraz bardziej się od siebie oddalali. Ona pracowała w sklepie spożywczym, świadoma, że przy zarobkach męża zawsze będzie musiała pracować, by opłacić rachunki. Poprosiła Ennisa, żeby używał prezerwatyw, bo z przerażeniem myślała o kolejnej ciąży. Nie zgodził się, powiedział, że w ogóle może dać jej spokój, jeśli ona nie życzy sobie mieć więcej jego dzieci.

— Mogłabym je mieć, gdybyś ty je utrzymywał — mruknęła pod nosem. I pomyślała: Z tego, co ty lubisz, rodzi się niewiele dzieci.

Z każdym rokiem coraz bardziej otwarcie dawała wyraz swojemu rozżaleniu: tamten uścisk, który zdążyła zauważyć, wspólne z Jackiem Twistem wyprawy wędkarskie, raz czy dwa razy do roku, ale żadnych wakacji z nią i dziewczynkami, jego niechęć do jakichkolwiek rozrywek, zamiłowanie do niskopłatnych, wielogodzinnych zajęć na ranczu, to odwracanie się twarzą do ściany w łóżku i zasypianie, niemożność znalezienia porządnej pracy w jakimś okręgowym przedsiębiorstwie albo elektrowni, wszystko to powoli przybliżało jej decyzję i kiedy Alma Juniorka miała dziewięć lat, a Francine siedem, powiedziała sobie, po jakie licho się go trzymam, rozwiodła się z Ennisem i wyszła za męża za właściciela sklepu spożywczego.

Ennis wrócił do pracy na ranczach, wynajmował się tu i tam, ani trochę nie poprawiał sobie bytu, ale cieszyło go, że znów jest przy zwierzętach, że jeśli chce, może wszystko zostawić, bez specjalnego uprzedzenia rzucić robotę i pojechać w góry. Nie nosił w sercu szczególnej urazy, w niejasny sposób czuł się odrobinę wystawiony do wiatru, ale pokazywał, że wszystko jest w porządku, jedząc w Święto Dziękczynienia obiad z Almą i jej sklepikarzem, i ze swoimi córkami, siedząc pomiędzy dziewczynkami i opowiadając im o koniach, sypiąc dowcipami, starając się nie być smutnym tatą. Po deserze Alma zabrała go do kuchni i zmywając talerze, oświadczyła, że martwi się o niego i że powinien ponownie się ożenić. Zobaczył, że jest w ciąży, w czwartym, piątym miesiącu, jak przypuszczał.

— Jak się ktoś raz sparzy... — powiedział, opierając się o blat i czując, jakby był za duży na to pomieszczenie.

— Nadal jeździsz na ryby z tym Jackiem Twistem?

— Czasami. — Pomyślał, że jak ona będzie dalej tak skrobać, to zedrze wzorek z talerza.

— Wiesz — powiedziała, a w tonie jej głosu wyczuł coś niedobrego — zastanawiałam się nieraz, dlaczego nigdy nie przywozisz do domu żadnych pstrągów. Zawsze mówiłeś, że tyle ich łapiecie. Więc kiedyś w nocy przed twoim wyjazdem na ryby otworzyłam wędkarski koszyk, który po pięciu latach wciąż miał metkę z ceną, i na końcu żyłki przyczepiłam karteczkę. Napisałam na niej: Cześć, Ennis, przywieź do domu parę ryb, całuję, Alma. A ty wracasz, opowiadasz, że złapałeś ileś tam pstrągów potokowych i że wszystkie zjadłeś. Pamiętasz? Przy pierwszej okazji zajrzałam do koszyka, a tam nadal tkwiła ta moja karteczka, na żyłce, która w życiu nie widziała wody. — I zupełnie jakby tamta woda miała wezwać do działania udomowioną kuzynką, odkręciła kurek i spłukała talerze.

— To o niczym nie świadczy.

— Nie kłam, nie próbuj mnie oszukiwać, Ennis. Wiem, o czym to świadczy. Jack Twist? Jack Świnia. Ty i on...

Przesadziła. Złapał ją za nadgarstek; trysnęły łzy, spłynęły po policzkach, brzęknął talerz.

— Zamknij się — rozkazał. — Pilnuj swojego nosa. Nie masz o niczym zielonego pojęcia.

— Zawołam Billa.

— A wołaj sobie, do cholery. Wrzeszcz, ile sił. Już ja go urządzę i ciebie też. — Jeszcze raz ścisnął jej rękę, zostawiając piekącą, czerwoną obwódkę wokół nadgarstka, wcisnął na głowę kapelusz, tyłem do przodu, i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi. Tego wieczoru poszedł do baru Pod Poturbowanym Orłem, upił się, wdał w krótką, ostrą bijatykę i wyszedł. Nie starał się o spotkania z córkami, wymyślił sobie, że same go odnajdą, kiedy dorosną i kiedy będą miały dość rozsądku, żeby odejść od Almy.

Nie byli już tamtymi młodzikami, którzy mieli wszystko przed sobą. Jack wyraźnie przytył, Ennis pozostał chudy jak szczapa, latem i zimą chodził w znoszonych butach, dzinsach i koszulach, przy chłodniejszej pogodzie wkładał płócienną kurtkę. Powieka, na której pojawiła się łagodna narośl, wyglądała na obwisłą, złamany nos zrosł się krzywo.

Przez długie lata wybierali się na konne wędrówki po wysoko położonych pastwiskach i wzdłuż górskich potoków, przez pasma Big Horn, Medicine Bow, południowy kraniec Gallatin, przez Absarokas, Granite, Owl Creek, Bridger-Teton Range, Freezeout i Shirley, Ferris i Rattlesnake, Salt River Range, tam i z powrotem przez pasmo Wind River, a także Sierra Madre, Gros Ventre, Washakie, Laramie, nigdy jednak nie wrócili na Brokeback.

Tymczasem w Teksasie zmarł teść Jacka, a Lureen, która odziedziczyła, po nim interes, z dużą zręcznością zarządzała firmą i przeprowadzała transakcje. Jackowi przypadł w udziale jakiś niejasny kierowniczy tytuł, zaczął jeździć na wystawy bydła i sprzętu rolniczego. Miał teraz pieniądze i nauczył się je wydawać podczas wyjazdów na zakupy. Jego mowa została przyprawiona szczyptą

teksańskiego akcentu. Kazał sobie spiłować przednie zęby i założył na nie korony, oświadczył, że nic go to nie bolało, postawił kropkę nad i, zapuszczając sporego wąsa.

W maju 1983 roku spędzili kilka zimnych dni w okolicy niewielkich, skutych lodem, nie nazwanych jeszcze jezior, a stamtąd przedzierali się do zlewiska rzeki Hail Strew.

Dzień był piękny, kiedy wędrowali pod górę, miejscami jednak natykali się na głębokie zasy śnieżne, których brzegi roztapiały się w błoto. Zjechali ze szlaku między krzaki i drzewa, poprowadzili konie po kruchych gałązkach, Jack w starym kapeluszu z tym samym orlim piórem, unosił twarz i wciągał nagrzane południowym słońcem powietrze przesycone żywiczną wonią sosen, zapachem suchej ściółki i ciepłych skał, gorzkim aromatem skruszonego końskimi kopytami jałowca. Ennis spoglądał czujnym wzrokiem ku zachodowi, wypatrując rozgrzanych chmur kłębiastych, które właśnie w taki dzień powinny się pojawić, ale błękit nieba pozostawał tak niezmacony, że jak powiedział Jack, patrząc w górę, można by w nim utonąć.

Okolo trzeciej przecięli wąską przełęcz i znaleźli się na południowo-wschodnim zboczu, ogrzany przez wiosenne słońce, tam wrócili na szlak, na którym, jak zobaczyli, nie było już śniegu. Dobiegał ich pomruk rzeki jak daleki odgłos pociągu. Po dwudziestu minutach natknęli się na baribala, który na występie skalnym nad ich głowami obracał kłodę, szukając pędraków, a koń Jacka przestraszył się i stanął dęba. Jack uspokajał wierzchowca, gniadosz Ennisa, choć tańczył i parskał, nie spłoszył się. Jack sięgnął po strzelbę, ale nie musiał jej użyć, zaskoczony niedźwiedź pocwałował pomiędzy drzewa ociężałym, niezgrabnym krokiem, jakby za moment miał się rozpaść na kawałki.

Nurt rzeki, teraz w kolorze herbaty, wezbranej od roztopionych śniegów, był bardzo szybki, a wokół każdej wystającej z wody skały, wokół rozlewisk i przeszkód tworzyły się koronki z pęcherzyków powietrza. Wierzby kiwały sztywno żółto-brunatnymi gałęziami, obsypane pyłkiem baze przypominały żółte odciski kciuków. Poili konie, Jack zsiadł ze swojego wierzchowca, nabrał pełne dłonie lodowatej wody, krystaliczne krople wypływały mu pomiędzy palców, usta i broda lśniły.

— Od czegoś takiego można dostać owsicy — ostrzegł go Ennis. — A miejsce jest niezłe — dodał, spoglądając na równy kawałek terenu nad brzegiem, dwa czy trzy wypalone kręgi pozostawione przez ogniska myśliwych.

Za tym płaskim kawałkiem ciągnęło się pokryte łąką zbocze, osłonięte ścianą sosen. Wokół leżało mnóstwo suchych gałęzi. Bez zbędnego gadania rozbili obóz, na łące uwiązali konie. Jack otworzył świeżą butelkę whiskey, pociągnął duży haust, odetchnął głęboko.

— To jedna z tych dwóch rzeczy, których mi teraz trzeba — oświadczył, zakorkował butelkę i rzucił ją Ennisowi.

Trzeciego ranka pojawiły się te chmury, których spodziewał się Ennis, nadciągnęły szarą falą z zachodu, ciemne kłęby gnające przed sobą wiatr i drobne płatki śniegu. Po godzinie zaczął padać miękki i mokry wiosenny śnieg, który przykrył wszystko wokół. Wieczorem znacznie się ochłodziło. Jack i Ennis podawali sobie skręta, ognisko paliło się do późna, Jack był niespokojny, narzekał na zimno, trącał kijem płonące patyki, tak długo kręcił potencjometrem tranzystorowego radia, aż padły baterie.

Ennis powiedział, że przystawiał się do pewnej kobiety, która pracowała na pół etatu w barze Wilcze Uszy w Signal, gdzie on sam zatrudnił się u Stoutamire'a przy hodowli krów i cieląt, ale do niczego to nie prowadziło, a poza tym ona miała jakieś kłopoty, z którymi on nie chciał mieć nic wspólnego. Jack powiedział, że on z kolei kręcił z żoną pewnego ranczera z Childress i przez kilka ostatnich miesięcy przemykał się chyłkiem z obawy, że albo Lureen, albo mąż tamtej kobiety będą do niego strzelać. Ennis roześmiał się i powiedział, że pewnie sobie na to zasłużył. Jack dodał, że w ogóle idzie mu nieźle, ale że chwilami tak bardzo brakuje mu Ennisa, że dosłownie ma ochotę kogoś rozerwać.

Konie rżały w ciemności, poza kręgiem światła rzucanym przez ognisko. Ennis objął Jacka, przyciągnął do siebie, powiedział, że widuje córki mniej więcej raz na miesiąc, Alma Juniorka jest teraz nieśmiałą dziewiętnastolatką, wysoką i chudą jak tyczka, Francine zaś to żywe srebro. Jack wsunął zimną dłoń między uda Ennisa, powiedział, że martwi się o swojego syna, który z całą pewnością jest dyslektykiem czy kimś takim, niczego nie chwyta, ma piętnaście lat i ledwie co czyta, on sam to widzi, a ta cholerna Lureen nie chce przyznać, że coś jest nie tak, i udaje, że z chłopakiem wszystko w porządku, nie godzi się na żadną pomoc. A on, cholera jasna, nie wie, jak to rozwiązać. To Lureen ma forszę i ona rządzi.

— Też kiedyś chciałem mieć syna — oświadczył Ennis, rozpinając guziki — no ale trafiły mi się tylko dziewczynki.

— Ja tam nie chciałem żadnych dzieci — powiedział Jack. — Ale nic, do kurwy nędzy, nie poszło tak, jak chciałem. — Nie wstając, rzucił suchą gałąź w ognisko, iskry uniosły w górę ich prawdy i kłamstwa, kilka rozżarzonych drobin opadło im na twarze i dłonie, nie pierwszy zresztą raz, a oni potoczyli się na ziemię. Tylko jedno nie zmieniło się przez te wszystkie lata: to wspaniałe elektryzujące uczucie towarzyszące ich sporadycznym zbliżeniom zawsze przyćmione było poczuciem upływającego czasu; nigdy dość czasu, nigdy dość.

Dzień czy dwa później na parkingu, tam, gdzie zaczynał się szlak, konie stały już w przyczepie, Ennis wracał do Signal, a Jack jechał do Lightning Flat, żeby zobaczyć się z ojcem. Ennis nachylił się, wsunął przez okno głowę do wnętrza samochodu Jacka, powiedział to, co odkładał przez cały tydzień, a mianowicie, że pewno uda mu się wyrwać dopiero w listopadzie, już po odstawieniu części bydła do rzeźni, a jeszcze przed rozpoczęciem sezonu zimowego, kiedy trzeba dowozić paszę na pastwiska.

— W listopadzie? A co, do diabła, stało się z sierpniem? — zawołał Jack. — Słuchaj, przecież umówiliśmy się na sierpień, na dziewięć, dziesięć dni. Chryste, Ennis! Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej? Miałeś cały pieprzony tydzień, żeby

szeptnąć choć słówko. I dlaczego zawsze musi to być, kiedy jest tak zimno? Trzeba coś z tym zrobić. Pojechać na południe. Kiedyś musimy pojechać do Meksyku.

— Do Meksyku? Znasz mnie, Jack. Całe moje podróżowanie to obchodzenie rondelka z kawą, żeby znaleźć jego rączkę. A w sierpniu mam obsługiwać maszynę do belowania siana, taki właśnie jest problem z tym sierpniem. Nie bądź taki markotny, Jack. W listopadzie możemy zapolować, ustrzelić se łosia. Zobaczę, czy nie uda mi się znów wziąć tej chaty od Dona Wroe'a. Dobrze nam w niej było tamtego roku.

— Wiesz, przyjacielu, to jest cholernie niedogodna sytuacja. Kiedyś jakoś łatwiej się urywałeś. A teraz spotkać się z tobą to jak zobaczyć się z papieżem.

— Jack, ja muszę pracować. Kiedyś, wcześniej, nie powiem, rzucałem robotę. Ty masz żonę z forszą, dobrą posadę. Zapominasz, jak to jest być cały czas bez grosza. Słyszałeś kiedyś o alimentach na dzieci? Płacę je od lat i jeszcze mi parę lat zostało. Zrozum, tej roboty nie mogę rzucić. I wolnego nie dostanę. Już teraz ledwo wydusiłem... niektóre z tych późniejszych jałówek nadal się cięlą. Nie wyjeżdża się wtedy. Nie robi się tego. Stoutamire to piekielny facet i rzeczywiście się pieklił, kiedy chciałem ten tydzień wolnego. Wcale się nie dziwię. Pewnie nie przespał spokojnie nocy od mojego wyjazdu. Zgodził się właśnie w zamian za ten sierpień. Masz jakiś lepszy pomysł?

— Raz miałem. — Ton głosu Jacka był gorzki i oskarżycielski.

Ennis zmilczał, wyprostował się powoli, potarł czoło; w przyczepie koń przestąpił nerwowo z nogi na nogę. Ennis podszedł do swojej półciężarówki, położył rękę na przyczepie, powiedział coś, co tylko konie miały usłyszeć, odwrócił się i zdecydowanym krokiem ruszył z powrotem.

— Byłeś w Meksyku, Jack? — Meksyk to dopiero odpowiednie miejsce. Tak słyszał. Teraz to już naprawdę ciął ogrodzenie, wchodził na teren, gdzie do intruzów strzela się bez uprzedzenia.

— Do diabła, jasne, że byłem. W czym, kurwa, problem? — Był na to przygotowany przez te wszystkie lata, a zdarzyło się akurat tutaj, późno i niespodziewanie.

— Powiem ci to tylko raz, Jack, i nie żartuję. To, czego nie wiem — mówił Ennis — to wszystko, czego nie wiem, mogłoby cię uśmiercić, gdybym to poznał.

— No to posłuchaj — odparł Jack — co ja ci powiem tylko raz. Musisz wiedzieć, że mogło nam się żyć dobrze razem, mogliśmy mieć cholernie dobre życie. Ale ty tego nie chciałeś, Ennis, więc pozostała nam tylko Brokeback Mountain. Wszystko jest na tym zbudowane. To wszystko, co mamy, mój chłopcze, pieprzone wszystko, więc mam nadzieję, że to przynajmniej wiesz, jeśli nie wiesz nic więcej. Policz sobie, ile czasu spędziliśmy razem przez te dwadzieścia lat. Zmierz tą pierdoloną krótką smycz, na której mnie trzymasz, I wtedy zapytaj mnie o Meksyk, a potem powiedz mi, że zabijesz mnie za to, czego pragnę i prawie nigdy nic dostaję. Nie masz najmniejszego pieprzonego pojęcia, jak mi ciężko. Nie jestem taki jak ty. Mnie nie wystarcza pieprzenie raz czy dwa razy w roku na dużych wysokościach.

Wykańczasz mnie, Ennis, ty cholerny skurwielu. Żałuję, że nie potrafię cię rzucić.

Całe lata tego wszystkiego, co nie zostało powiedziane i czego powiedzieć się nie da — wyznania, obietnice, wstyd, poczucie winy, lęki — uniosły się wokół nich

niczym ogromne, zimowe obłoki pary z gorących źródeł. Ennis stał jak trafiony prosto w serce, twarz zszarzała i pobrużdżona, skrzywiona grymasem, oczy zamknięte, pięści zaciśnięte, wreszcie nogi ugięły się pod nim i padł na kolana. — Jezu — zawołał Jack. — Ennis. — Zanim jednak zdołał wysiąść z pick-upa, nie wiedząc, czy ma do czynienia z atakiem serca czy też z atakiem furii, Ennis stał już ponownie na nogach i tak jak drucziany wieszak wyprostowany po to, żeby otworzyć nim zatrzaśnięte drzwi auta, wyginamy z powrotem, by przywrócić mu pierwotny kształt, tak oni dwaj przywrócili sprawom poprzedni stan, bo przecież nic z tego, co mówili, nie było nowością. Nic się nie skończyło, nic nie rozpoczęło, nic nie zostało rozwiązane.

To, co Jack pamiętał i do czego tęsknił w sposób, którego nie pojmował i któremu nie potrafił zaradzić, to tamta chwila sprzed lat, na Brokeback, kiedy to Ennis w ciszy podszedł do niego od tyłu, objął i przyciągnął do siebie, ten jego uścisk zaspokajał jakiś trawiący ich obu i nie mający nic wspólnego z seksem głód.

Stali tak długo w czerwonym, migotliwym blasku ogniska, ich ciała rzucały na skałę pojedynczy słup cienia. Minuty mijały, odmierzane tykaniem zegarka w kieszeni Ennisa, trzaskiem zwęglających się patyków. Przez warstwy gorącego powietrza falującego nad ogniskiem przebijały gwiazdy. Ennis oddychał powoli i spokojnie, pomrukiwał, kołysał się delikatnie pośród sypiących się iskier, a Jack, oparty o niego, czuł równy rytm jego serca, wibracje wywołane pomrukiwaniem niczym słabutki prąd i tak, stojąc, zapadł w sen, który nie był prawdziwym snem, tylko jakimś niezwykłym stanem, pół snem, pół jawą, i dopiero Ennis, przywoławszy zapamiętane z dzieciństwa, z czasów sprzed śmierci matki, nieużywane, ale nadal użyteczne powiedzonko, odezwał się: „Czas walnąć się w siano, kowboju. Muszę się zbierać. Rusz się, bo śpisz na stojąco jak koń”, potrząsnął nim, popchnął i odszedł w ciemność. Jack słyszał, jak brzęknęły przy wsiadaniu jego ostrogi, dobiegły go słowa „do jutra”, charakterystyczne parsknięcie konia, stukot kopyt na kamieniach.

Już później ów senny uścisk utrwalił się w jego pamięci jako ten jedyny moment prawdziwego czystego szczęścia, który łączył ich odrębne i pogmatwane losy. Nie mąciło tego nic, nawet świadomość, że Ennis nie objął go, stojąc z nim twarzą w twarz, bo nie chciał ani widzieć, ani czuć, że to właśnie jego trzyma w ramionach. Być może, pomyślał sobie, tak naprawdę nigdy nie posunęli się dalej. A niech tam, niech tam.

Ennis przez wiele miesięcy nie wiedział o wypadku, aż do czasu, kiedy pocztówka, którą wysłał do Jacka z informacją, że listopad pozostaje jedyną możliwością, wróciła ze stemplem ADRESAT NIE ŻYJE. Zadzwoił na numer Jacka w Childress, co wcześniej zrobił jedynie raz, kiedy Alma się z nim rozwiodła i Jack wtedy nie zrozumiał, jaki był powód jego telefonu i na próżno przejechał te tysiąc dwieście mil

na północ. Będzie dobrze, Jack podniesie słuchawkę, musi ją podnieść, myślał. Ale tak się nie stało. Odezwała się Lureen i spytała kto? kto taki? A kiedy powtórzył, kim jest, odpowiedziała spokojnym głosem, owszem, Jack na bocznej drodze pompował koło i wystrzeliła mu opona. Była pewnie wadliwa. Wyrzucona siłą eksplozji obręcz uderzyła go w twarz, strzaskała nos i szczękę, pozbawiła przytomności. Nim wreszcie ktoś tamtędy przejeżdżał, Jack utopił się we własnej krwi.

Nie, pomyślał Ennis, dopadli go z łyżką do opon.

— Jack cię wspominał — powiedziała. — Jesteś jego kumplem od wędkowania czy polowania, tyle wiem. Dałabym ci znać, ale nie bardzo wiedziałam, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz. Większość adresów swoich przyjaciół Jack trzymał w głowie. To okropne. Miał zaledwie trzydzieści dziewięć lat.

Przepełnił go ogromny smutek tych północnych równin. Nie wiedział już, jak było, łyżka do opon czy prawdziwy wypadek, krew zalewająca mu gardło i nikogo, kto by go obrócił na bok. Poprzez szum wiatru słyszał, jak stał odłupuje kość, słyszał pusty dźwięk nieruchomiejącej obręczy.

— Tam jest pochowany? — Miał ochotę przeklinać tę kobietę za to, że pozwoliła Jackowi umrzeć na gruntowej drodze.

Cichy teksański głos sączył się po drucie.

— Postawiliśmy nagrobek Mawiał, że chce być spopielony, a jego prochy mają być rozsypane na Brokeback Mountain. Nie wiedziałam, gdzie to jest. Więc go spopieliliśmy, jak sobie życzył, jak mówię, połowa jego prochów została tutaj, a resztę wysłałam rodzinie. Myślałam, że Brokeback Mountain to miejsce, gdzie się wychował. Ale jak znałam Jacka, może to być jakieś wymyślone miejsce, gdzie śpiewają drozdy, a z ziemi tryska whiskey.

— Któregoś lata wypasaliśmy owce na Brokeback Mountain—wyjaśnił Ennis. Słowa więzły mu w gardle.

— No cóż, powiedział, że to dla niego szczególne miejsce. Myślałam, że może takie, gdzie może się upić. Pić sobie tam na górze whiskey. Sporo pił.

— Jego rodzina nadal mieszka w Lightning Flat?

— A tak. Nie ruszą się stamtąd aż do śmierci. Nie miałam okazji ich poznać. Nie przyjechali na pogrzeb. Skontaktuj się z nimi. Przypuszczam, że by docenili, gdyby spełniono jego życzenia.

Nie ulegało wątpliwości, ta kobieta była uprzejma, ale miała lodowato zimny głos.

Droga do Lightning Flat prowadziła przez wyludnione tereny wzdłuż co najmniej kilku opuszczonych rancz, rozrzuconych na równinie co jakieś osiem, dziesięć mil, zarośnięte chwastami domy łypały pustymi oczodołami okien, resztki zwalonych ogrodzeń poniewierały się wokół. Na skrzynce pocztowej zobaczył napis John C. Twist. Ranczo było nędzne i niewielkie, prawie całe już gęsto zarośnięte wilczomleczem. Bydło pasło się zbyt daleko, żeby mógł stąd ocenić jego stan. Zauważył tylko, że to herefordy. Ganek ciągnął się na całą szerokość frontowej

ściany malutkiego, pokrytego brązowym tynkiem domu z dwoma tylko pomieszczeniami na dole i z dwoma na górze.

Ennis siedział w kuchni z ojcem Jacka. Matka, postawna kobieta, poruszała się ostrożnie, jakby dochodziła do siebie po jakiejś operacji.

— Napijesz się kawy, prawda? — spytała. — Kawałek placaka z wiśniami?

— Dziękuję pani. Chętnie wypiję kawę, ale za placek dziękuję.

Stary siedział w milczeniu, ręce złożył na obrusie, wpatrywał się w Ennisa gniewnym spojrzeniem człowieka dobrze zorientowanego w sytuacji i Ennis od razu zauważył, że to jeden z takich, co to zawsze muszą przewodzić w stadzie. W żadnym z tych dwojga nie widział nic z Jacka. Nabrał powietrza w płuca.

— Czuję się okropnie, jeśli chodzi o Jacka. Nawet nie potrafię tego wyrazić. Znałem go od dawna. Przyjechałem, żeby powiedzieć, że jeśli chcecie, to zabiorę jego prochy tam, na Brokeback Mountain, gdzie, jak mówi jego żona, chciał, żeby były rozsypane. I będzie to dla mnie zaszczyt.

Zapadło milczenie. Ennis odchrząknął, ale nie powiedział nic więcej.

— Wiesz co — odezwał się starzec — ja wiem, gdzie jest ta góra Brokeback. A jemu się wydawało, że jest za ważny, żeby legnąć na rodzinnej kwaterze.

Matka Jacka zignorowała jego słowa.

— Przyjeżdżał tu co rok — powiedziała — nawet po tym, jak się pożenił w Teksasie, i przez tydzień pomagał swojemu tacie na ranchu, naprawiał bramy, kosił trawę i w ogóle. Nie zmieniał nic w jego pokoju od czasu, kiedy był chłopcem, i wydaje mi się, że mu to odpowiadało. Możesz tam wejść, jeśli zechcesz.

— Tutaj nie mogę znaleźć nikogo do pomocy — rzucił gniewnie ojciec. — „Ennis del Mar”, Jack mówił, „kiedyś przywiozę go ze sobą i obaj doprowadzimy to rancho do takiego stanu, jak trza”. Cosik mu się plątało po głowie, że się obaj tu przeprowadzicie, wybudujecie dom z bali i pomożecie mi prowadzić to gospodarstwo, i postawicie je na nogi. Potem, tamtej wiosny, miał tu przywieźć jakiegoś innego, wybudować dom i prowadzić rancho, to był jakiś jego sąsiad z Teksasu. Umyślił sobie, że rozstanie się z żoną i osiedzi tutaj. Tak gadał. Ale jak z większości pomysłów Jacka, z tego też nic nie wyszło.

No więc teraz już wiedział, że to była łyżka do opon. Wstał, powiedział, jasne, że chciałby zobaczyć pokój Jacka, przypomniał sobie jedną z opowieści Jacka o ojcu. Jack był obrzezany, a jego ojciec nie; zaniepokoiło to chłopca, który odkrył tę anatomiczną różnicę w trudnym dla siebie momencie. Miał jakieś trzy czy cztery lata, opowiadał, ciągle się spóźniał do toalety, mocował z guzikami, z sedesem, było mu za wysoko i w rezultacie często oblewał wszystko wokół. Ojciec się wściekał, a któregoś razu wpadł w furję. „Chryste, obił mnie bezlitośnie, powalił na podłogę, tłukł pasem. Myślałem, że mnie zatłucze. A potem mówi: Chcesz wiedzieć, jak to jest, kiedy się leje na wszystko dookoła? Ja ci pokażę, jak to jest, i wyciąga swojego i sika na mnie, potem rzuca ręcznik i każe wycierać podłogę, ściągać ubranie i prać je w wannie, ręcznik też, a ja się drę i beczę. Ale kiedy mnie obsikiwał, zobaczyłem, że ma tam trochę więcej niż ja. Zauważyłem, że skroili mnie inaczej, tak jakby komuś przycięto ucho czy naznaczono piętrem. Po czymś takim nie szło się już dogadać”.

Pokój, u szczytu stromych schodów, które było trzeba pokonywać ich własnym szczególnym rytmem, okazał się maleńki i duszny, przez umieszczone po zachodniej stronie okno biło do wnętrza bezlitosne popołudniowe słońce, zalewając blaskiem stojące przy ścianie wąskie chłopięce łóżko, poplamione atramentem biureczko i drewniany fotelik, wiatrówkę w ręcznie wystruganym uchwycie nad łóżkiem. Okno wychodziło na biegnącą na południe żwirową drogę i Ennisowi przyszło na myśl, że w całym okresie dorastania była to jedyna droga, jaką Jack znał. Do ściany obok łóżka przyczepiona była wycięta ze starego czasopisma fotografia jakiegoś ciemnowłosego gwiazdora filmowego, którego skóra z latami przybrała purpuroworóżową barwę. Słyszał, jak na dole matka Jacka odkręca wodę, napelnia czajnik, stawia go ponownie na kuchence, stłumionym głosem zadaje staremu jakieś pytanie.

W płytkiej wnęce, oddzielonej od reszty pokoju wyblakłą kretonową zasłonką na sznurku, tkwił poziomo drewniany pręt. Na drucianych wieszakach wisiały porządnie złożone dwie pary uprasowanych na kant dżinsów, na podłodze stały znoszone kowbojki, które wydały mu się znajome. W północnej ścianie wnęki, za niewielką wypukłością, mieściła się skrytka, a w niej, na gwoździu, wisiała zeszytniała od nieużywania koszula. Wziął ją do ręki. Stara koszula Jacka z czasów Brokeback. Wyschnięta krew na rękawie była krwią Ennisa, z rozbitego nosa, kiedy to ostatniego popołudnia na górze Jack w jakimś wygibasie podczas mocowania walnął go w nos kolaniem. Tamował mu wtedy tę krew, która była dosłownie wszędzie na nich obu, rękawem swojej koszuli, ale nie trwało to długo, ponieważ Ennis zamachnął się nagle i pozbawił przytomności swojego anioła miłosierdzia, który opadł na ziemię jak dziki gołąbek ze złożonymi skrzydłami.

Koszula wydała mu się nienaturalnie ciężka i wtedy zauważył, że tkwi w niej druga, z rękawami wsuniętymi starannie w rękawy koszuli Jacka. Była to jego własna kraciasta koszula, gdzieś zapodziana, jak sądził, dawno temu w jakiejś pralni, jego brudna koszula, z rozerwaną kieszenią, z brakującymi guzikami, ukradziona przez Jacka i ukryta we wnętrzu jego koszuli, obie razem jak dwie skóry, jedna w drugiej, dwie w jednej. Wtulił twarz w tkaninę, wdychał powoli powietrze ustami i nosem, z nadzieją, że poczuje najsłabszą choćby woń dymu i górskiej szalwii, i tego słono-słodkiego zapachu Jacka, ale nie było tam nic, tylko jego własna pamięć, przywoływana moc Brokeback Mountain, z której nie pozostało nic oprócz tego, co trzymał teraz w rękach.

Ostatecznie przewodnik stada nie pozwolił mu zabrać prochów Jacka.

— Wiesz co, mamy tu rodzinne groby i tam ci on spocznie — oznajmił.

Matka Jacka stała przy stole, ostrym ząbkowanym narzędziem usuwała gniazda nasienne jabłek.

— Przyjedź jeszcze kiedyś — powiedziała.

Podskakując na nierównej jak tara drodze, Ennis minął wiejski cmentarzyk, ogrodzony obwisłym drutem maleńki kwadrat prerii, kilka grobów ustrojonych

jaskrawymi plastikowymi kwiatami i za nic nie chciał przyjąć do wiadomości, że Jack tam spocznie, pochowany na tej żalostnej równinie.

W sobotę, kilka tygodni później, wrzucił wszystkie brudne końskie derki od Stoutamire'a na skrzynię półciężarówki i zawiózł je do myjni samochodowej, gdzie splukał je silnym strumieniem wody pod ciśnieniem. Kiedy mokre czyste derki znalazły się z powrotem w samochodzie, wszedł do sklepu Higginsa z upominkami i zatrzymał się dłużej przy stojaku z pocztówkami.

— Czego szukasz, Ennis, że tak tam między nimi grzebiesz? — spytała Linda Higgins, wrzucając ociekający kawą filtr do pojemnika na śmieci.

— Widokówki z Brokeback Mountain.

— Tej w hrabstwie Fremont?

— Nie, tej na północ stąd.

— Tych nie zamawiałam. Poczekaj, wezmę listę. Jak je mają, to zamówię ci setkę. I tak muszę tu mieć więcej pocztówek.

— Jedna mi wystarczy — powiedział Ennis.

Kiedy nadeszła — za trzydzieści centów—powiesił ją w swojej przyczepie, w każdy jej róg wcisnął mosiężną pinezkę. Pod nią wbił gwóźdź, a na tym gwoździu powiesił drucziany wieszak z dwiema starymi koszulami. Cofnął się i przez piekące łyzy spoglądał na tę kolekcję.

— Jack, przysięgam... — zaczął, chociaż Jack nigdy nie prosił go o żadne przysięgi, a i sam też nie należał do tych, co je składają.

Mniej więcej w tym właśnie czasie Jack zaczął pojawiać mu się w snach, taki, jakiego pierwszy raz zobaczył, z kręconymi włosami, uśmiechnięty, z wystającymi zębami, rozprawiający o tym, jak to trzeba wreszcie stanąć na nogi i pokierować swoim życiem, ale była tam też puszka fasoli z wystającą łyżką, ledwie utrzymująca się na kłodzie drewna, wszystko to w krzykliwych kolorach i kształtach jak z kreskówek, co dodawało tym snom jakiejś zabawnej obsceniczności. Ta łyżka bardzo przypominała łyżkę do opon. Budził się czasem albo ogarnięty żalem, albo z tantym dawnym uczuciem radości i ulgi; zdarzało się, że miał mokrą poduszkę, kiedy indziej prześcieradło.

Między tym, co wiedział, a tym, w co starał się wierzyć, istniał pewien rozziw, ale nic na to nie można było poradzić, a jeśli nie można czegoś zmienić, trzeba z tym żyć.